MUZYKA I ŚPIEW



Nr. 17. **Kraków, dnia 15 Marca 1913 r.** **Rok II.**

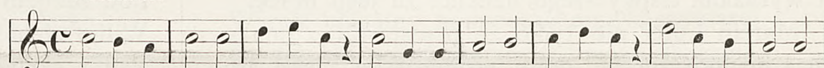
WYCHODZI OKOŁO 1-go i 15-go KAŻDEGO MIESIĄCA. — PRENUMERATA ROCZNA KOR. 6·—, PÓŁROCZNA KOR. 3·—.
ADRES WYDAWNICTWA: ROMAN FEREK, KRAKÓW, DRUKARNIA »CZASU« UL. ŚW. TOMASZA 32.
Na odpowiedź listową należy załączyć markę za 10 hal., inaczej odpowiedź umieszczoną będzie w rubryce »Odpowiedzi Redakcyi«.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. — Cena ogłoszenia jednorazowo wynosi 40 hal. za wiersz petitowy jednoszpaltowy.

Hymnus
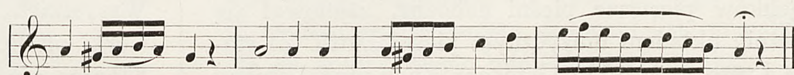
Melodya i słowa łacińskie i polskie
Dra KAZIMIERZA LUBECKIEGO.

Kraków, 1913 r.

Andante.



Martyrum a-ve Re-gi-na Summa dolentium Patrona Mox manus erga
Zdrowaś Bo-le-sna Królowo Wielka cierpiących Obrono Skłoń ku nam rękę



nos cli - na Strophio pa - tien - tiae co - ro - - - - na
go - to - wą Wieńcz cierpli - wo - ści ko - ro - - - - ną

Martyrum ave Regina
Summa dolentium Patrona
Mox manus erga nos clina
Strophio patientiae corona.

Tu in passionum abysso
Rubes virtute divina
Cruce ornata et bysso
Pia cruciatum Regina.

Sanguinum sancto in mari
Regium supra insigne
Lucens corona stellari
Mater solaris benigne.

Magnificeris quae paris
Fortitudinem viventem
Martyrum globis in claris
O tantam Jesu parentem!



Zdrowaś, Bolesna Królowo,
Wielka cierpiących Obrono,
Skłoń ku nam rękę gotową,
Wieńcz cierpliwości koroną.

Ty w mąk i męczeństw przestworze
Męztwem-eś boskiem różowa
Z krzyżem i w krasnym bisiorze
Zbożna boleści Królowa.

Śród morza ze krwi przelanej
Stojąc na świetnym dyademie,
O, Matko w gloryi zorzanej
Cieszysz łaskawie łez plemię.

Bądź wysławiana, Macierzy,
Zbawcę rodząca, Moc żywą
Wiary męczeńskich rycerzy!
O, jakoż jest miłościwą!

Do tego numeru dołącza się dodatek nutowy „DWIE PIEŚNI KOŚCIELNE“ p. Aug. Piechury.

MARCIN LUTER
i jego zasługi dla muzyki.

Dnia 28 lutego br. upłynęło 367 lat od śmierci Marcina Lutra. (*10/XI. 1483 †18 12 1546). Niedawno temu, kiedy Niemcy obchodziły jego rocznicę śmierci, pojawiły się liczne artykuły i studya, omawiające obszernie zasługi Marcina Lutra około literatury i muzyki. Sztuka tonów odegrała w życiu Lutra bardzo ważną rolę. Już w młodości swojej, jako ubogie dziecię chóru z Eisenach, zawdzięczał jej całe swe utrzymanie. Muzyka była jego ulubieniem i w latach późniejszych, kochał ją namiętnie, pomimo że nie posiadał nawet znajomości teoretycznych. Poważał i miłował wszystkich tych, którzy posiadali zdolności muzyczne, cenił wielce i tych którzy jego zdolności i zamiłowanie popierali swą fachową wiedzą. Luter wpłynął na rozwój muzyki chóralnej nie tylko własnemi kompozycyami, lecz także pobudzaniem przyjaciół swoich kompozytorów do tworzenia w tym kierunku. Że przestawał i kochał się w muzyce, świadczy o tem jeden z jego listów łacińskich, napisany do Ludwika Senfel'a kompozytora, twórcy wielu podniosłych motetów i kompozycyi „*Non moriar sed vidam*“, w którym Luter darzy kompozytora wyrazami najwyższego uznania za jego pracę.

Marcin Luter nie tylko że przestawał z muzykami i kompozytorami doby współczesnej, lecz gromadził około siebie utalentowanych twórców. Jan Walter najuczeńszy ówczesny erudyta układający dla ewangelików pierwsze pieśni nabożne, zajmował się przeważnie układem muzycznym pieśni Lutra. Za staraniem Lutra w r. 1530 Grzegorz Rhau wydał słynny zbiór motetów „*Selectae harmoniae*“ zawierający utwory Walther'a, Senfel'a, Eckel'a i innych. Dalej wydany został śpiewnik p. t. „*Deutsches Gesangbuch*“ mieszczący 123 pieśni na cztery i pięć głosów, czerpane z dzieł pierwszorzędnych kompozytorów chóralnych.

Luter nie spisywał sam własnych kompozycyi, śpiewał je w obecności swych przyjaciół muzyków, którzy owe melodye ujmowali we właściwe i odpowiednie formy. — W ten sposób powstało dwanaście utworów Lutra, pośród których do najbardziej nam znanych należą: „*Ein feste Burg*“, „*Wir glauben all an einen Gott*“, „*Jesaia*“, „*Aus tiefer Noth*“. Tematy tych pieśni wprowadzone zostały przez późniejszych kompozytorów i do kościołów katolickich, i często znajdujemy je także w preludyach organowych. W bibliotece monachijskiej znajduje się cały zbiór motetów Lutra pod tytułem: „*Symphoniae jucundae 4 vocum, ven Motettae 52 cum prefatione*“ Mart. Lutheri, Wittenberg 1583. — Wiele z tych melodyi zaczerpnął Luter z prastarych pieśni, tchnął w nie wiele uczucia złączył ściśle z tekstem i rozprzestrzeniał je z zapałem. — Popierał o ile tylko mógł śpiew chóralny, zaprowadzał go wszędzie gdzie warunki odpowiadały temu. Nie szczędził i własnej szkatuły dla dobra muzyki i śpiewu, nie szukał z niej zysków, lecz pracował dla idei i własnego zamiłowania.

Tak kochając muzykę, położył wielkie zasługi około jej rozwoju, a tem samem w dziejach muzyki zajął niepoślednie miejsce.

OBRONA CZĘSTOCHOWY.

HISTORYA O JACKU BRZUCHAŃSKIM
Organiście częstochowskim.

Ciąg dalszy.

13.

Ale w roku szcześćsetnym pięćdziesiątym piątym,
Smutna wilia była w strapionej Polonii:
Głowa żadna domasznym nie cieszy się kątem,
Ani na mszę pasterską dziad kościelny dzwoni,
Ani ludzie nie idą do kościoła miedzą,
Ani w dworach igrają dziecięta przy stole,
Ani plonu nadzieją nie poszepta pole.
W ukryciu gdzieś po lasach biedne chłopki siedzą,
Przy ognisku zmarznięte ogrzewają członki,
Głodne dziecięta tulą się w rańtuchy matek.
Rzadki dwór nie spalony, gdzieby dym gościnny
Pod niebem się w bieluchne układał koronki.
Wilija cicha, smutna, nie igra rój dziatek,
Pan z czeladzią się łamiąc z wilgnemi oczyma,
Opłatek w drżącej ręce jakoś dłużej trzyma,
I łzą tajemnych życzeń pokropi pobożnie.
Wszystkich pobożnie zbliża nieszczęście do siebie:
Córki około matki, co chora obłożnie,
Klęcząc modlitwą Ojca błagają na niebie,
Syn milcząco spogląda na zbroje po ścianie,
I duma, rychło w szyku gdzie pancernym stanie.
Siwy dziad schylił głowę nad węgrzyna czarą
I zadumał się wielce, aż źrenicą starą
Dwie łzy mu wypłynęły, mieszając się z winem:
A gdy północ wybiły z turkawką zegary,
A spustoszony kościół na mszę nie zawzywa:
Poklękniono do koła: ojciec, syn i córy,
A nad niemi się wzniosła głowa starca siwa;
Aż weselsi powstali i z za ciemnej chmury
Oknem dworu się błękit pokazał gwieździsty,
Niby Maryi Panny rąbek przeźroczysty,
I dzwon się ozwał zdala — wesoły, godowy,
A dziad szepnął: To na mszę dzwonią w Częstochowy.
Wilija — w domu Jacka, Jackowa się krząta,
Ochędożnie ociera proch z każdego kąta,
Stół zastawia, obrazy święte poświeca:
Na jednym z nich Marya, Przeczysta Dziewica,
Kopia Częstochowskiej, brunatnego lica,
A dziwnie tajemnicza, boska, macierzysta,
Widać, że ją malował sam Ewangelista,
Tak ufność budzi, wielką i świętą nadzieję,
Jak się człeku przy żadnym obrazie nie dzieje.

Przy niej święty Hyacent i Teresa święta,
Organistowstwa obojga patrony,
Za obrazami palma z gromnicą zatknięta,
I ziela od piorunów wieniec zawieszony.
Stół obrusem bieluchnym przykryty chędogo,
Z kuchenki zapach potraw leci smakowity,
Widać jest tam uraczyć i napoić kogo,
Jako bywa u rządnej, opatrznej kobiety:
Dziś się szczególniej ona musiała wysadzić,
Bo miała wielu gości za swój stół posadzić,
Nawet szlachtę i księdza od świętej Barbary,
Kilku z kwarty, z któremi przyjaźnił się stary,
Poczciwych ludzi, tęsknych do polskich zwyczajów,
Co chociaż w Szweda służbie, przecie we czci mieli
Matkę Bożą i szczerze zwycięztwa jej chcieli,
A pana Jacentego w swą protekcyę brali,
I od wszelkiej wandalskiej oppresyi chowali.
A iż była niewiastą prawdziwie chrześciańską,
I rada ludzkie bole leczyć i mozoły:
To w drugiej izbie trzy aż zastawiła stoły,
By uraczyć wieczerzą chudzinę włościańską.
Ale chociaż to mozoł miała dzisiaj duży,
I okryła już dziatki zmarznięte na poły,
Starzyną, w czem jej wiernie dobra córka służy:
Ułatwiła już wszystko, wieczerza gotowa,
I gwiazdeczka na niebo już wyszła różowa.
A pan Jacek nie przybył.
Trapi się Jackowa:
„Może jakie nieszczęście! Idź-no wyjrzyj Anno
Czy nie idzie?"
Hanna słuszną była panną,
Gibką jak łania, a jak jabłuszko rumianą,
Od rodziców w bojaźni Bożej wychowaną.
Więc kiedy zobaczyła matki swej strapienie,
Wyleciała na ganek w jedno okamgnienie
I wróciła za chwilę: „A toć ojciec bieży
Pewnie ma coś ważnego!"
W zśnieżonej odzieży
Wrócił Jacek, a widać z postaci i twarzy,
Że coś wielce ważnego w swym umyśle waży,
Bo nie przywitał córki, którą kochał srodze,
Ani słówka nie wyrzekł Teresie niebodze,
Jeno zawołał: „Hanko! idź do stajni żywo
I rozkaż tam chłopcu okulbaczyć siwą,
A Jejmość niech mi kubrak mój żołnierski poda,
Inkaust, papier i pióro. Wszędzie obleciałem
Z kolędą, patrzaj Jejmość, na czole aż woda...
Oj srogo gospodarzą. W parafii całej
Zaledwie cztery dymy nietknięte zostały,
Ratuj nas panie Boże!"
„O na rany!
Jakiś ty zgrzany Jacku i jaki sterany,
Odpocznijże: wilia czeka zgotowana,
Zaprosiłam kwarcianych, księdza kapelana;
A i jadło niezgorsze uwarzyłam przecie,
A ty znowu się zbierasz gdzieś gonić po świecie!
Jacku! Jacku! do czasu nosił wilk barany...
Cierpnę, że ci na koniec przyjdzie opłakany,
A cóż ja biedna wdowa pocznę sama z dzieckiem?
W wojnę jeno się mieszać osobom szlacheckim,
A nie tobie, coś sobie mieszczan i chudzina!"
„Cicho Jejmość, nie wtrącać się w tę rzecz Jejmości,
A nie obrażać Maryi... mnie to nie pierwszyzna...
Klasztor o bliskim szturmie nie ma wiadomości,
Zawieje i śnieg srogi, że nie widno wroga:
Myślą, że Szwed przynajmniej uczci przyjście Boga,
A oni tam gotują pono szturm ostatni,
Gdy król myśli na pomoc przyjść klasztornej matni.
Śliczna rzecz, gdy napadną nieopatrznych mnichów,
A od czegoż to Jacek? Wstydź się Jejmość srodze,
A z tych słów wyspowiadaj w kościele jak z grzechów,
Pięknieć, mężowi stawać na zbawienia drodze...
A czy nie wiesz, żem winien jako organista
Świętej Barbary, chodzić rok w rok na kolędę
Z opłatkami na górę? Fundacya wieczysta,
A ja jej pierwszy pewnie odmieniać nie będę".
„Ale to czasy wojny" wybąknęła żona.
„Otóż masz, w fundacyi wojna niewspomniona...
Rok w rok stoi wyraźnie. Śliczny sługa boży,
Kiedy spokój — bundziuczny, kiedy strach — to tchórzy.
A od czegoż na świecie są święte urzędy?
Lichy żołnierz, co w wojnie od broni ucieka...
Więc niechaj nikt w klasztorze na mnie nie narzeka,
Żem w zły czas mu życzliwej nie poniósł kolędy.
Dawaj Jejmość opłatki, daj kubrak kwarciany".
Organiścina kubrak podała po cichu,
Wzrok błagalny podnosząc do Najświętszej Panny,
By jej nie poczytała za tę bojaźń grzechu.
Mąż pisze — ona cicho chodzi po komorze,
Wzdycha i jakieś ciężkie przeczucie ją zmaga,
Ale skargi mężowska nie znosi powaga.
Z trudem pan organista skończył list niemałym,
Ile że rzadko pismo miewał w używaniu,
I zręcznie go opłatkiem pookrywał białym.
Potem z alkowy wyszedł w żołnierskiem ubraniu,
Z pałaszem, co mu dźwięczał około goleni,
Podobnym do długiego rożna od pieczeni.
Kołpak żołnierski wsunął z fantazyą na oczy,
I samopałem w koło jako żerdzią toczy,
Że żona zawołała: Jacenty, Jacenty!
Poznają cię! poznają! Panienko przeczysta!
A dyć to widać zaraz, żeś ty organista,
Organista od głowy aż do samej pięty!
To chociaż ten kołpaczek spuść nisko na uszy,
Bo widać, że siwizna już ci głowę pruszy,
„Wąsy poczerń!" W tem rady Jackowej posłuchał:
Dobył węgla, oburącz wąsy posmoruchał
I zapytał: „A teraz"!? i krokiem marsowym
Na ganek wyszedł w swojem przemienieniu nowem.
Przed gankiem stoi Hanna i klacz ojca trzyma:
Niepotrzebnie, bo siwa była ślepą z rodu,
Nie miała ona chimer końskiego narodu;
Była spokojna, w ruchach wielce flegmatyczna,
Jacek miał do niej słabość — mówił, że prześliczna;
Znały ją wszystkie dzieci i ludzie w parafii,
Pan Jacek na niej bywa, jeździ po kolędzie,

A choć nie ruszy cuglem — ona węchem trafi,
Z długiego doświadczenia zawlecze się wszędzie,
Powoli lecz statecznie. Teraz łeb złożyła
Na ramieniu u Hanny i zamknęła ślepie:
Pan Jacek ją po bokach wytuczonych klepie,
Ale pani Teresa, jeszcze zakrzyknęła:
„Jacku! ty na tej szkapie jedziesz do obozu?..."
Wtedy pan Jacek dobył już gromkiego głosu:
„Idź Jejmość do kądzieli, tam siedzieć niewieście,
A nie gadać o koniach. Wiedz, że w całem mieście
Lepszej kobyły nie ma, sam przeor w stadninie
Niema, choć stadnina przeorowa słynie,
Cóż z tego że oślepła? bo była ognista!
Ale za to wytrwała, krępa, podsadzista,
Spokojna, a choć trochę w pysku bywa tępą,
Żaden koń tak wybornie nie chodził mi stępą.
A jako czysty stanąć chcę kiedyś przed Panem,
Nie mieniałbym się za nią ze żadnym kwarcianym".
To rzekłszy, Jacek smoknął na siwkę przychylnie:
Wzniosła łeb — i w kopyta uderzyła silnie
I poszła drogą stępo, w kroki wymierzone,
Z organistą, co szeptał: „Pod Twoją obronę",

14.

Noc była mroźna, śnieżne zamiecie ustały,
Ostatnie chmury, coraz bielsze i przejrzyste,
Przeświecone księżycem, wichry poganiały:
I po ziemi się światło jakieś uroczyste
Rozlało, jakaś dziwna mieszanina cieni
Z światłami, drgającemi od gwiazdek promieni.
Księżyc wybłysłszy nagle, klasztor zwalił stary
Cieniem czarnym na obóz Wandalów rozpięty,
A z drugiej strony cudnie kościół pooświecał,
Że się zdał niby starzec, siwy, biały, święty,
Co prawicą-wieżycą Polskę Bogu zlecał.
Pierwszy raz, odkąd klasztor oblężenie znosi,
Taki wesoły księżyc się nad nim unosi,
Pierwszy raz niebo taką pogodą przyświeca
By szata którą nosi niebieska Dziewica,
Gwiazdami błyszczącemi misternie utkana,
Wesoła jako chwila Narodzenia Pana.
To też na murze zamku, w jasnym światła stoku,
Drużyna Częstochowska stanęła radośnie,
A serce od niebieskiej nadziei jej rośnie:
Ksiądz przeor pewność świętą ma w natchnionem oku,
Szlachta wesołym kręgiem do niego się garnie:
„A no chwała Panience, zamieć się rozgarnie,
Mróz tęgi a pogoda. Łatwiej nam w klasztorze,
Niźli Szwedom na polu. Nie długo im może
Tu wytrzymać toć nie śmią zapalić ogniska
Biedacy, bo się boją salwy przy wieczerzy.
Na wał ani się wdrapać, taka ziemia śliska:
Spokojnie zanucimy Panu: W żłobie leży!
Kiedy tak przeor mówi, na wale u wieży
W światła blasku na szkapie zjawi się kwarciany,
Zdjął kołpak, pod kołpakiem zaświeci łysina.
Częstochowcy krzyknęli: W imię Ojca, Syna
I Ducha — wszak to Jacek — Jacek znów przebrany!
A Jacek zawinięte w wór, opłatki ciska
I oracyą wypala, podjechawszy z bliska,
Dodając, że na słodkie Pana urodziny
W opłatkach dobre niesie klasztornym nowiny:
A życzy, by wnet obszedł księży, szlachtę, braci
Mieszczan personaliter, jak stoi w fundacyi.
Ledwie to Jacek wyrzekł aż z fosy niebawem
Zabłysły oręże promieniem jaskrawem;
Siwa w bok — chłop olbrzymi za cugle ją chwyta:
Da bist du, Vogel! wrzeszczy. Częstochowcy z wałów
Na dół palą do Szwedów ze swych samopałów.
Ale wnet hurma cała opadnie biedaka,
Zraniona mieczem siwa ruszyła z kopyta
I raz pierwszy galopem urznęła z szłapaka.
„Księże przeorze! duszę-ć polecam i dzieci!"
Woła Jacek — w podrzutach do obozu leci,
Ginie w dali i czasem tylko się zaświeci
Łysina starca, w której księżyc się przeziera,
I twarz nie organisty — ale bohatera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PÓŁ TUZINA MOICH WYPRAW
na posadę organisty.

Nie masz na świecie człowieka, któryby w młodości swojej nie zastanawiał się nad wyborem zawodu, aby na przyszłość zapewnić sobie choć skromne warunki bytu. Wybór pada według woli i upodobania, lecz nieraz obrany zawód nie daje pewnych gwarancyj do utrzymania młodego adepta, który walczyć musi z głodem i nędzą, o ile zawczasu nie pomyśli o innej pracy, któraby mogła zapewnić mu to utrzymanie. Niejeden z młodzieńców mając talent i zamiłowanie do sztuki, chciałby w nią przelać swą duszę, pracę i chęci, chciałby wzbijać się coraz wyżej, lecz już w zaraniu swych czynów spotyka się z rozczarowaniem. Zamiast bujać po wyżynach, upada, los zawistny ściga go, dopóki nie porzuci swego postanowienia. To co piszę, odnosi się do zawodu organistowskiego. Nie jestem przeciwnikiem uczenia się tej sztuki, lecz potępiam nieuczciwe wyzyskiwanie łatwowiernych pod pozorem dania im »kawałka chleba« z zawodu organistowskiego. Aby łatwiej i dokładniej przedstawić korzyści z tego zawodu i przyjemności na jakie się młodzieniec nieraz naraża, postanowiłem opisać moje wyprawy, aby każdy poznał jak pięknie wygląda ten zawód, kiedy żyć z niego wypadnie. I ja byłem tak naiwnym, że wierzyłem w to co ludzie mówili, że najlepsza posada u księdza, — lecz wkrótce własnem doświadczeniem obaliłem to przekonanie.

WYPRAWA PIERWSZA.

Jako ukończony organista i skrzypek z czasów prof. Rychlinga w krakowskiem konserwatoryum, tak jak inni i ja miałem pretensye do objęcia posady organisty. Nie narzucałem się jednak, czekałem aż się

kto zgłosi, mając na myśli przysłowie: »siedź w kącie — znajdą cię«. Grając raz w kościele zastępczo, po mszy zaczepia mię jakaś dama, a przepraszając uprzejmie zapytuje, gdzieby mogła dowiedzieć się o jakiegoś dobrego organistę, któryby mógł zaraz jechać na posadę. Jako kandydata przedstawiłem siebie samego i zapytałem o warunki i wymagania.

— Warunki u nas na posadzie są bardzo dobre, a gdy tylko organista nada się do naszego proboszcza, to i dochody i utrzymanie mieć będzie do śmierci — tak brzmiała odpowiedź.

Dowiedziałem się dalej, że poprzedni organista był pijakiem i marnotrawcą, wszystkiego było mu za mało, narzekali na niego parafianie i ks. proboszcz, aż wreszcie zebrał snopki i wyniósł się z posady, nie mówiąc nic nikomu.

— Dobrze chociaż, że umeblowania nie zabrał — dodała dama — bo ono należy do inwentarza organisty. Jeżeli pan reflektuje na tę posadę, proszę o adres a wkrótce otrzyma pan odpowiedź od ks. proboszcza.

Dałem więc swoją wizytówkę, a za trzy dni otrzymałem list od księdza tej treści:

Szan. Panie!

Na polecenie pani N. N. siostry naszej dziedziczki, podaję Panu warunki na posadzie w mojej parafii: Pensya miesięczna 10 koron. Stałe dochody od chrztów, ślubów i pogrzebów. Dochód z kolędy, spisnego, petyty i wypominków. Mieszkanie z urządzeniem pod dachówką. Do dyspozycyi szopa, stajnia i dla wygody studnia. Do organisty należy zbiór trawy około kościoła jako wynagrodzenie za pewne drobnostki przy kościele.

Oczekuję odpowiedzi i przyjazdu już na niedzielę.

Ks. . . . .

Po przeczytaniu tego listu, przyszedłem do przekonania, że posada dobra, parafia musi być duża, jeżeli mam gwarantowane dochody od chrztów i ślubów, mieszkanie, grunt i dopłaty 10 koron. — Odpisałem że zgadzam się i na oznaczony termin przybędę.

Po wysłaniu listu, cieszyłem się w duchu, że moje nagromadzone i oćwiczone kompozycye Bacha, Rincka, Brosiga i innych wygrywać będę z całą swobodą, cieszyłem się, że zaimponuję swą grą nie tylko ks. proboszczowi ale i całej parafii.

Nadeszła oczekiwana sobota i rano z pełno wyładowaną walizą nut, książkami i skrzypcami wsiadłem do pociągu i szczęśliwie przybyłem na miejsce przeznaczenia. Ponieważ kościół oddalony był od stacyi o kilka kilometrów, rozglądam się za jaką bryczką lub furką, gdy jakiś wiejski parobczak zapytuje mię:

— A czy to pan z Krakowa?

— A tak z Krakowa — odpowiedziałem.

— A może pan do księdza jedzie?

Usłyszawszy odpowiedź potwierdzającą, wskazał mi powóz, który właśnie ks. proboszcz posłał na kolej.

Ucieszony taką uprzejmością ks. proboszcza wsiadłem i za niecałe pół godziny byliśmy przed plebanią. Dałem woźnicy na piwo i poleciłem mu odnieść moje bagaże do mieszkania organisty, sam zaś udałem się do ks. proboszcza.

Wszedłszy do kancelaryi parafialnej, ukłoniłem się i zanim miałem czas przedstawić się memu przełożonemu, zapytał mię on uprzejmie:

— Czem panu mogę służyć?

— Niczem proszę ks. proboszcza, bo ja właśnie tu przyjechałem służyć, — jestem organista N. N. z Krakowa i stawiłem się na oznaczony termin.

— Jakto? zapytał ks. proboszcz — to pan jesteś tym organistą, po którego ja pisałem? A skądże się pan tu wziął?

— Dzięki uprzejmości ks. proboszcza przyjechałem powozem, który po mnie posłał! jestem za to ks. proboszczowi wielce zobowiązany.

— Przepraszam pana na chwileczkę, bo coś tego nie rozumię, — to powiedziawszy wyszedł.

Te słowa zdziwiły mię wielce, tem bardziej, że zauważyłem u ks. proboszcza jakieś zakłopotanie, że zmuszonym był udać się na dół po informacye do woźnicy.

Rozglądam się tymczasem po kancelaryi. Z pierwszego wejrzenia zauważyłem, że rządca tej parafii należy pewnie do konserwatorów i miłośników zabytków przeszłości, skoro ze sufitu zwisają długie pajęczyny, a ściany czarne od kurzu i prochu. W nieładzie na stole rozrzucone stare gazety, książka metryk i zapowiedzi, dalej pod przyciskiem spora kupka kartek loteryjnych. — Dalsze rozglądanie się, przerwała mi głośna rozmowa ks. proboszcza na dole z woźnicą, pobiegłem bliżej do okna aby usłyszeć o co się rozchodzi i słyszę łajanie:

— Jakto? więc nikogo na stacyi nie było więcej? nie mówiłem ci po kogo masz jechać? wiesz kogoś przywiózł? — organistę! — Widziałeś ty wole kiedy, żeby organista jechał plebańskim powozem? i jakie on potem będzie miał pretensye, że ja po niego konie wysłał! nie mogłeś się go zapytać co on za jeden?

— Adyć — odpowiada woźnica — pytam się go czy do księdza, powiedział że tak, widzę że na pana mu patrzy, myślałem, że to ten gość — więc go wziąłem do powozu. Gdziebym się też był spodziewał, że to organista!

— Jak jesteś taki głupi, to sobie z nim tak zrób, żebym się go wnet pozbył, bo ja tu takich panów nie potrzebuję.

. . . .

Nie mogłem dalej słuchać. Nie wiedziałem czy to wszystko prawda co słyszę, a gdy tak zadumany stoję, wchodzi ks. Proboszcz.

— Niech pan siada — rzekł uprzejmie — zaszło między nami małe nieporozumienie. Widzi pan, że co wieś, to nie miasto, potrzebowałem organisty dobrego, to ja rozumię dobrego chłopa, żeby mi umiał robić cepami i kosą lub łopatą. — Pan jesteś z miasta i cóż mi z tego, że pan ładnie zagrasz, jak mi pan nie zrobisz nic koło gospodarstwa koni lub bydła?

— Przepraszam bardzo, ale ani list, ani posłanniczka od księdza proboszcza nic nie mówiła o tem, że dobry organista ma dobrze robić cepami i kosą!

— No tak! widzi pan! babą to się nigdy nie posłuży! z tego taki kłopot!

— No, ale napijmy się winka, odpocznie sobie pan trochę i pojedzie nazad — bo to nie dla pana!

— Dziękuję bardzo, ale wystarczy mi już piwo jakie mi nawarzono, poznałem już życzliwość ks. proboszcza dla organisty, dziękuję za tak uprzejme przyjęcie.

— Ja jestem dla organistów bardzo życzliwy, o ile mam pewnego i dobrego, bardzo go szanuję i poważam. I z pana byłbym bardzo rad, gdyby pan odpowiadał mym wymaganiom. Teraz wielkiego gwałtu nie mam o organistę, bo ten co pana przywiózł kształci się na organach, a nawet ma do tego pewne zdolności! za parę tygodni to się jeszcze wyrobi.

Potwierdziłem ks. proboszczowi to mniemanie, podziękowałem jeszcze raz za gościnne przyjęcie i poszedłem obejrzeć nie doszłą moją parafię i mieszkanie.

Przed plebanią zastałem stojącego woźnicę. Spojrzał on na mnie pogardliwie jako na swego rywala, lecz dając mu koronę do ręki, załagodziłem sprawę i kazałem mu się zaprowadzić na organistówkę i przynależności.

Organistówka oddalona o jakie 150 kroków od plebanii, sprawiała swym wyglądem przygnębiające wrażenie. Zapadła ta buda służyła w jednej połowie za stajnię plebańską, w drugiej za mieszkanie organisty. Dach na niej nie tylko »p o d d a c h ó w k ą«, ale pokryty częściowo gontem i łatany słomą. Wchodzimy do środka: sień wspólna tak dla przejścia organisty do mieszkania, jak i dla koni do stajni. Mieszkanie organisty bez podłogi. Łóżko w rodzaju płytkiej paki bez siennika z utartą słomą, zamiast poduszki, stary kożuch, obok stołek złamany o trzech nogach, zamiast stołu jakaś brudna skrzynia ustawiona na cegłach. Przez powałę i strych widać firmament niebieski. — Miałem już tego dosyć. Chodźmy dalej — prowadzi woźnica.

— A tu jest studnia, co także do organisty należy — ale taka zaniedbana bo w niej chłopi psa plebańskiego utopili. Ale to był dobry pies! do sadu plebańskiego nikomu ani zbliżyć się nie pozwolił — to też organista ze złości, nawet go nie wyjął ze studni. Ale jakby pan tu został u nas, możnaby grabiami wybrać kości, podebrać studnię i dobra będzie woda.

Nie dobrze mi się zrobiło po tem objaśnieniu. Zbliża się jakaś furmanka biorę swoje bagaże z pod organistówki i przysiadam się, aby dojechać do kolei. — Przewodnik mój chciał mi jeszcze pokazać trawę na cmentarzu, którą ma na własność oddaną organista, lecz zrezygnowałem z tego, chcąc jak najspieszniej być na kolei.

Nie myślałem nigdy o tem, że organista w Galicyi oprócz wykształcenia muzycznego, musi posiadać znajomość i praktykę w obsłudze inwentarza plebańskiego i mieszkać jak ostatni żebrak, jedząc trawę ze cmentarza a popijając wodą ze studni w której psa utopiono.

Ciąg dalszy nastąpi.

MOJE WRAŻENIA.

Zawadziłem onegdaj o Trzebinię. Z okien wagonu kolejowego, rzucają się podróżnemu w oczy kontury okazałego presbiteryum nowo budującego się kościoła OO. Salwatoryanów. Wnosząc z rozmiarów, budowa kościoła względnie nawy i dalszych części, na bardzo szeroką zakreślona skalę. Że zaś — jak to mówią — natura ciągnie wilka do lasu, postanowiłem skorzystać z wolnej chwili i obejrzeć z bliska budowę, a przedewszystkiem przekonać się, jakiego też, tak dbali o chwałę Bożą OO. Salwatoryanie posiadają organistę, jak jest uposażony no i o wszystkich rzeczach »które jego są«. Drzwi świątyni zastałem zamknięte, cisza. Podszedłszy dopiero nieco dalej w stronę zabudowań, spotkałem jakąś bosonogą piękność, którą zapytałem czy tu jest i gdzie mieszka p. organista?

— Łorganista? niema prosę pana, był ale taki dobry że go wygnali.

— Jak to wygnali — pytam — może sam poszedł? Miał on się tu dobrze?

— O, tu jest dobrze, dostawoł pięć ryńskich na miesiąc.

— Tak? Ależ mniejsza od ciebie, gdyby poszła gęsi paść, to także pięć reńskich dostanie. Przecież za to nie można wyżyć!

— Ale, żeby robiuł w kościele porządki, jak mu księza kazowali, toby mu jeść dali.

— A któż tu teraz grywa, czy może który z księży?

— Nie, księza nie grają, ale jak trzeba, to przychodzi jeden kolejarz i gra.

Podziękowawszy przygodnej informatorce za tak cenne wiadomości, zawróciłem, by udać się dalej. I smutne, ciężkie myśli, przyszły mi do głowy. Mój Boże — pomyślałem — gdy który z przewielebnych Ojców potrzebuje nowych butów, lub bodaj czy stare chce naprawić, to z pewnością stara się o dobrego szewca i żąda aby ten but był kształtny, miał piękną formę i wygląd, a co szewc zażąda to i zapłacić trzeba. Ale takie głupstwo jak granie na chwałę Stwórcy w niebiesiech... ktoby się tam o to troskał — do tego lada dławiduda kolejowy wystarczy. Niech on sobie tam dudli nawet jednym palcem byle handel szedł, byle mniej kosztowało. A zresztą co tam — Pan Bóg ponoć nie bardzo jest wybredny, a zresztą choćby się Mu tam takie lekceważenie i profanacya świątyni nie podobały troszkę, to i tak w najgorszym razie nie ma obawy: kija na winowajców nie porwie.

Na zakończenie dodać muszę, że X. X. Salwatoryanie poszukują organisty. Jak nam zaś z powyższego wiadomo — dają jeść i pięć reńskich na miesiąc. — A jakże! *Kay.*

Od Wydawnictwa.

Wszystkim naszym Czytelnikom donosimy uprzejmie, iż z powodu ogólnej stagnacyi jaka w całej Austryi dotkliwie odczuwać się daje, chwilowo zmieniamy warunki wydawnictwa. Bardzo wielu PP. Organistów powołano do służby wojskowej, większa zaś część naszych prenumeratorów nadesłała usprawiedliwienia, że wobec tak wielkiego zastoju, mogą nadesłać prenumeratę dopiero w połowie roku. — Nie chcąc narażać funduszów Organizacyi, które nam będą bardzo potrzebne do założenia stow. zawodowego, zawiadamiamy iż wydawać będziemy pismo **raz na miesiąc,** aż do poprawienia się ogólnej sytuacyi. Czynności przewodn. Komitetu i Delegacyj również wstrzymane zostają aż do rozpoczęcia obrad sejmowych.

Komitet Redakcyjny.

RUCH ZAWODOWY.

WIEC W WADOWICACH.

W dniu 20 lutego 1913 r. odbył się wielki zjazd organistów w Wadowicach, kierowany nadzwyczaj sprężyście przez lokalny komitet organistowski. Na wiec przybyło z samego zakątka zachod. Gal. 72 kol. z których większa połowa przybyła z całem zasobem referatów, wniosków, oraz różnego rodzaju interpelacyj i rad. Wiec ten był prawdziwą manifestacyą koleż. bo cechowała go nadzwyczajna harmonia zespolonych uczuć miłości koleżańsko-bratniej, opartych na silnych fundamentach miłości Boga i bliźniego. Jednem słowem wiec ten należał do najlepiej udanych wieców organistowskich jakie odbyły się w ostatnim dziesiątku lat w naszym kraju. Wiec zagaił w przepięknych i treściwych słowach, znany z gorliwości i intenzywnej pracy dla dobra ogółu, kol. jubil. Fr. Wojewodzic, przedstawiwszy jasno i dobitnie znaczenie i szacunek organistów przed 30 laty, porównując w stosunku do dzisiejszego stanu rzeczy, w jakim się organistowstwo znajduje.

Następnie przystąpiono do wyboru Prezydyum: Przewodniczącym wiecu wybrano jednogłośnie przez aklamacyę, kol. Fr. Wojewodzica z Andrychowa, zastępcą przew. kol. Stan. Lecha z Jaworznia, sekretarzami wybrano kolegów: Józefa Bielasa z Zawoji i Jana Cywickiego z Rzyk. Wymienieni koledzy wybór przyjęli, dziękując za zaufanie. Poczem zabrał głos kol. J. Niewidowski z Wadowic, który jako gospodarz wiecu, witając serdecznie kolegów podziękował wszystkim zebranym, którzy nie szczędząc trudów, kosztów i poświęcenia przybyli na wiec aby dać dowód, jako wierni synowie Kościoła i Ojczyzny drogiej, że mimo trudów i niewygód na jakie są narażeni, miło im spędzić w gronie tak serdecznym, tak swojskim, bodaj kilka godzin na poufnych i nader ważnych obradach, które niewątpliwie pozostaną na długo w pamięci i w sercach uczestników naszego wiecu. Z uznaniem podniesiono na wiecu dobre chęci kolegów, którzy będąc przeszkodzeni obowiązkami zawodowemi nie mogli przybyć na wiec, jednak dali dowód wspólnej pracy, przysyłając na cele organizacyi zawodowej wedle możności drobne kwoty, z oświadczeniem i prośbą o przyjęcie ich do organizacyi. Z ubolewaniem podniósł kol. Niewidowski, że wielu jednak kol. zajmujących nawet lepsze posady organistowskie, nie raczyli bodaj kartką przesłać swego usprawiedliwienia, za to też ogół wyraził pogardę takim trutniom, którzy bez szlachetniejszych ideałów pragnęliby zbierać owoce kosztem biedniejszych lecz szlachetnych kolegów.

W przemowie półtora godź. przedstawił kol. Niewidowski jak ważną sprawą jest organizacya zawodowa, zachęcając w gorących słowach kol. do solidarności koleżańskiej, szacunku dla swych Przełożonych i podniesienia powagi Kościoła św. Poruszono również bardzo ważną kwestyę co do prywatnej fabrykacyi organistów, którzy jako rozparzeńcze nie mając swego przekonania, są tym podatnym narzędziem w ręku przewrotowców i przynoszą nie obliczalne szkody w skutkach, tak dla organistów, jako też i dla samego Duchowieństwa.

W dalszym ciągu porządku dziennego, przemawiał kol. Fr. Węda z Tłuczani, który to punkt ze względu na ważność sprawy, jako też wypowiedziany przez zawodowego mowcę, wywarł na słuchaczach wielkie wrażenie.

Kol. Feliks Jurecki z Łękawiny w długim i treściwym referacie uzasadniał korzystne skutki i niejako konieczność przystąpienia do Tow. samopomocy org. we Lwowie. Kol. Stan. Partyka z Choczni w starannie opracowanym referacie na temat »Czy organiści potrzebni?« i »Praca organisty«, poruszył wiele i bardzo ważnych kwestyj. Nie mogę zamilczeć abym tu nie wspomniał, że kol. Partyka, który był prawie najważniejszym czynnikiem naszego wadowickiego wiecu, od szeregu lat pracuje bardzo wydatnio i energicznie dla sprawy organistowskiej, jest to prawdziwy przykład i wzór do naśladowania.

Z pomiędzy wielu kolegów zasługują na szczególniejszą wzmiankę kol. Augustyn Olek z Włosienicy, który w przepięknych słowach i przekonywujących wywodach i dyskusyach dał się poznać, jako inteligentny i wielkie rokujący nadzieje na polu pracy ogólno koleżańskiej.

Nad wyraz miłą osobistością i nader pożądaną na zgromadzeniach był zastępca przew. zaszczytnie znany ze swej niezmordowanej i wydatnej pracy kol. Stan. Lech z Jaworzna, który pomimo licznych obowiązków zawsze chętnie spieszy na zgromadzenia organistowskie, aby swoją światłą radą i gruntowną znajomością rzeczy, wlewać ducha otuchy w młodszych i mniej uświadomionych braci kolegów. Przemawiało jeszcze wielu kol. których nazwisk na razie dla braku miejsca nie wymieniamy.

Po wyczerpaniu porządku dziennego i dyskusyach wszyscy koledzy powstawszy zaśpiewali pełną piersią »Boże coś Polskę« i na tem posiedzenie zamknięto.

W końcu odbyła się wspólna kolacya, przy której toczyły się serdeczne pogadanki koleżańskie, a następnie rozjechali się koledzy pociągami w różnych kierunkach, uwożąc bardzo miłe wrażenia wiecowe.

Na cele wspólnej organizacyi zawodowej złożyli koledzy

w czasie wiecu	146	K.	80 h.
Z przekazów pocztowych . .	43	,,	60 ,,
Razem . .	190	K.	40 h.

Koszta urządzenia wiecu . .	26	K.	17 h.
Wspólna kolacya na 50 osób	65	,,	36 ,,
Wiec uchwalił zwrot kosztów kol. Niewidowskiemu do Rzeszowa	20	,,	—
Na cele gazetki organ. . .	10	,,	—
Razem . .	121	K.	53 h.

Dochód	190 K.	40 h.
Rozchód	121 „	53 „
Pozostało	68 K.	87 h.

Kwotę powyższą złożono na książeczkę Kasy Oszczędności, która to książeczka znajduje się u kol. J. Niewidowskiego w Wadowicach.

Za komitet wiecu *J. Niewidowski.*

Dalszy ciąg sprawozdań dekanalnych zamieszczony zostanie w przyszłym numerze.

Z końcem roku szkolnego 1911/12 w konserwatoryum muzycznem w Krakowie, otrzymali świadectwa ukończenia nauki gry na organach z postępem bardzo dobrym PP. Organiści:

BYRSKI JOZEF,
SKAŁUBA JAN,
PYZIK JAN.

Wszystkim tym panom życzymy »Szczęść Boże« w pracy na niwie muzycznej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Ferek. Nakładem galicyjskiego Komitetu Organistów.

DRUKARNIA „CZASU“ W KRAKOWIE.